

MARGINESY



RYK KAMIENNEGO LWA

JANUSZ MAJEWSKI

Świetne postaci, cudowny słuch językowy. Obrazy, których się nie zapomina.
To piarstwo Janusza Majewskiego. Mistrza filmu. Ale też mistrza narracyjnej prozy.
Miłość do Lwowa przebija z każdego zdania. Koniecznie!

PAWEŁ HUELLE

**RYK
KAMIENNEGO
LWA**

JANUSZ MAJEWSKI

MARGINESY

1

Ocknął się dokładnie w tym samym momencie co wtedy: za oknem przesunęła się tablica „Lemberg Hbf” i pociąg zatrzymał się z piskiem.

Jestem we Lwowie – pomyślał – i nie jestem już nadkomisarzem. Przynajmniej wciąż nazywam się Król. Nazwisko banalne, gorzej z imieniem: Rafał. Trochę pretensjonalne, dlaczego rodzice je wybrali? W 1894 roku? Czterdzieści osiem lat temu? Przed Żeromskim? O Króliku Marczyńskiego nie wspomnę. Dlaczego nie Jan? Stanisław? Roman? Nie wiadomo i nikt już na to pytanie nie odpowie, rodzina, w której się urodziłem, wymarła, rodzina, którą stworzyłem, zginęła. Teraz muszę zaczerpnąć powietrza i ruszyć na spotkanie czegoś, co stopniowo, z dnia na dzień zacznie przybierać kształt nowego życia. O starym życiu, o mecenasie Karolu, o złowieszczym Maxie, o funkcji w granatowej policji i związkach z majorem trzeba zapomnieć. Nie, majora nie można zapomnieć, bo on o mnie na pewno

nie zapomni. Prędzej czy później jego ludzie powiedzą mu, że tu jestem, zresztą sam do nich pewnie pójde...

Wyszedł na plac przed dworcem i udał się prosto na przystanek tramwajowy. Ledwie zaczął czytać opis tras, gdy pojawił się wyświechtany człowieczek ze zdesperowanym spojrzeniem.

– Szanowny pan dzie chcy jechać? – zagadnął go.

– Już znalazłem. Jadę dwójką.

W oczach mężczyzny mignęło rozczarowanie i Rafał od razu rozpoznał powód.

– Słaba linia, mały tłok?

Rozczarowanie zmieniło się w przestrach.

– Nu tu co, nie rozumim?

– Trudne warunki pracy...

Człowieczka olśniło, pojął, z kim ma do czynienia.

– Najmocniej przepraszam, panie władzo – powiedział, rezygnując z bałaku i wskoczył do ruszającej jedyнки.

Cholera jasna, trzeba powściągać nawyki. Czasem mogą zaszkodzić. Rozpoznałem tego kieszonkowca odruchowo, jak stary pies, i od razu podniosłem łapę, wężąc zdobycz. Po co? – pomyślał Rafał. Jechał na otwartym pomoście tramwaju i rozglądał się. Nic się nie zmieniło przez te niespełna dwa tygodnie, ale teraz miał poczucie, że wrócił. Wrócił? Dokąd? Do kogo? Wrócił, aby ukryć się, zagrzebać w jakiejś norze, zniknąć na jakiś czas. A może wrócił do niej, do Lenki? Czy go przyjmie? Czy ta smuga światła, w której szli chwilę koło siebie, znowu się pojawi? Napisał do dziewczyny pocztówkę, ale nie wspomniał o przyjeździe,

zresztą wtedy jeszcze o nim nie wiedział. Nie odpisała. A czy podał swój adres? Nie mógł sobie teraz przypomnieć, może rzeczywiście nie podał. Jechał ulicą Gródecką i wypartywał, kiedy zmieni się ona w Kazimierzowską, by doprowadzić go do Legionów, gdzie zamierzał wysiąść i cofnąć się o kilka numerów, aż dotrze pod dziewiątkę. A jak Lenka będzie stała w bramie? Odgonił tę myśl, jednak wróciła nieproszona. Próbował ją zracjonalizować: przecież to tylko praca. Co, jego lepsza?! Ale mimo to...

Już dochodzi ósma, choć jest jeszcze jasno, więc nawet jeśli dziewczyna wróciła do swojej profesji, to za wcześniej, żeby pojawić się na posterunku. Zobaczymy. Tramwaj minął hotel Astoria, gdzie dziś i tak nie zanočuje, to był numer 15, jeszcze 13, 11 i 9... Nie stoi! Nikogo nie ma w bramie.

Poczuł się raźniej i wysiadł na przystanku na rogu Legionów. Zobaczył tyły gmachu Teatru Wielkiego, ruszył wzdłuż tych kilku domów i wszedł w bramę. Piął się stromymi schodami na trzecie piętro i z przyzwyczajenia rozglądał się z uwagą dookoła. Kamienica nigdy nie należała do luksusowych, zapewne mieszkali w niej urzędnicy niższego stopnia, drobni kupcy, bo taka też była cała ulica – utrzymywano ją wprawdzie w czystości i porządku, drzwi do mieszkań wyglądały na solidne, wszędzie wisały mosiężne tabliczki z nazwiskami mieszkańców, tylko zapach, który tu panował, był już zapachem biedy okupacyjnej.

Ciemnym korytarzem dotarł do drugiej, służbowej klatki i wszedł na wąskie, niemiłosiernie skrzypiące schody,

prowadzące na poddasze. Czytał kiedyś, że w korytarzu przed sypialnią cesarza w Kioto ułożono podłogę tak, żeby specjalnie skrzypiała i ostrzegała przed skradającym się mordercą. Te schody zawiadaniały sąsiadów, że Lenka ma gościa. No, nie tylko ona, dotyczyło to wszystkich mieszkańców poddasza. Kim oni są? Oni i ich goście? Znajomy świat, raczej półświatek, czyli dobrzy znajomi byłego nadkomisarza Policji Państwowej oraz komisarza policji granatowej, tajnego agenta Komendy Głównej AK i uciekiniera przed spodziewanymi kłopotami z Warszawy...

Podszedł pod drzwi Lenki i zapukał. Nie usłyszał nawet szmeru. Jeszcze raz sprawdził, czy to właściwy numer, ale tak, pamiętał, że adresował „mieszkania 23”. Zapukał jeszcze raz, mocniej – cisza w środku trwała, za to otworzyły się bezszelestnie drzwi obok i na korytarz wyjrzała malutka staruszka.

– Ta pani kuchany, ta jej ni ma! Już pary dni jej ni byłu.

Przyjrzała się mu ciekawie: trencz Burberry, kapelusz w modnym mysim kolorze, elegancki sakwojaż, a przede wszystkim uroda amanta filmowego i postawa kogoś, kto wydaje rozkazy, a nie ich słucha, musiały zrobić na niej wrażenie, bo od razu zrezygnowała z bałaku:

– A pana pewnie portier z Astorii tu skierował? Nie mają miejsc?

– Nie, nikt mnie nie skierował. Jestem znajomym panny Helenki.

– Ach tak! To pewnie pan wie o jej kłopotach: ona gdzieś uciekła przed tym Ukraińcem!

– Jakim Ukraińcem? – Rafał przytknął na ułamek sekundy oczy, bo poczuł lekki ucisk w skroniach. To jego wiecznie obecny asystent dawał o sobie znać i jak zwykle uprzedzał go, że za chwilę powtórzy sygnał, a potem może nawet zapali czerwoną ostrzegawczą lampkę.

– A nachodził ją taki jeden *murga*. Nie chciała go wpuścić, to walił w drzwi, że cały dom pobudził. Aż go Trogło ze schodów musiał zrzucić.

– Kto to jest Trogło?

Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi w głębi korytarza i stanął w nich olbrzym. Musiał schylić głowę, aby móc popatrzeć pod futrynę. Był w poplamionym podkoszulku i w spodniach od piżamy.

– Wszystku w porządku, pani Wichurowa? – zapytał schrypniętym głosem, w którym zadźwięczała nieskończona kolejka kieliszków wypitej w życiu wódki.

– Tak, tak, w porządku, Trogło. Możesz spać.

Olbrzym uśmiechnął się przyjaźnie do Rafała i zamknął drzwi.

– Przed wojną występował w cyrku Staniewskich. Rwał łańcuchy i podnosił zębami fotel ze stukilową kobietą z brodą. Sama widziałam dwa razy, dał mi bilety. A tej tu to ja mówiła: „Ta ty się, Lenka, nie bój. Ta, jak on zleciał na pysk ze schodów, to on już tu nie wróci”, ale ona kręciła głową, że ten Rusin to bandyta i przyjdzie tu już nie sam...

– Jak wyglądał ten Ukrainiec? – zapytał Rafał, bo właśnie znów poczuł ucisk w skroniach.

– A taki niewysoki, krępy, kudły ryże, mongolska morda...

W mózgu mężczyzny zapaliła się czerwona lampka.

– Gdyby wróciła, proszę powiedzieć, że pytał o nią Rafał. Z Warszawy...

Schodząc schodami, rozważał, co zrobić w tej sytuacji. Skoro na wstępie wyeliminował hotel Astoria, pomyślał o dwóch miejscach: restauracji pana Fonsia i o panu Lolku. Obaj pomogli mu, kiedy był tu przed dwoma tygodniami, szczególnie pan Lolek, do którego Rafał od razu zapałał sympatią, ale wtedy przypomniał sobie panią Molendową. Tak, to najlepsze miejsce, na uboczu, nikt go tam nie będzie szukać. Z pewnością zrobił wtedy na niej dobre wrażenie, więc może wynajmie mu pokój na jakiś czas, dopóki on nie znajdzie Lenki. Tym bardziej że znowu zamierzał powołać się na ojca Michała, furtiana kapucynów.

Pokrzepiony na duchu wsiadł do dziewiątki i pojechał na Zamarstynów. Szybko zorientował się, gdzie ma wysiąść, i już po chwili skręcał w uliczkę Barącza. Chociaż zredukował swój bagaż do minimum, jego niewielki sakwojaż z eleganckiej skóry, kupiony tuż przed wojną u braci Jabłkowskich, zaczął mu trochę ciążyć. Przeszedł kilkanaście metrów i stanął jak wryty: bajkowy domek za zielonym płotkiem był prawie doszczętnie spaloną ruiną. Z dachu zostało kilka zwęglonych krokwi, okna przypominały czarne, osmolone oczodoły. Na ulicy nie było nikogo, kto mógłby udzielić jakiejś informacji, więc Rafał postanowił pójść po

nią do klasztoru. Zadzwoił do znajomej furty, tym razem otworzyła się prawie natychmiast. Młody braciszek rozpoznał go od razu.

– Pan nadinspektor, proszę wejść. – Wpuścił go przed sobą do kancelarii parafialnej. – Widział pan zgliszcza? – domyślił się.

– Kiedy to się stało?

– Parę dni po pana wizycie, jakiś tydzień temu.

– A pani Molendowa?

– Nie żyje. Zginęła w tym pożarze, prawdopodobnie spała, bo to było w nocy. Właściwie pochowaliśmy prochy...

Rafał pokiwał smutno głową i zakonnik zapytał:

– Czy możemy panu w czymś pomóc?

– Obawiam się, że muszę o coś poprosić. Ale pewnie ojciec Michał jest do tego niezbędnym.

– Zaraz go sprowadzę.

Młody braciszek wyszedł. Rafał usiadł na wielkiej dębowej ławie wbudowanej we wnękę łukowatego witrażowego okna, które zaczęło już ciemnieć. Zerknął na zegarek: minęła dziewiąta. Musiałby już wyjść, aby zdążyć do pana Lolka przed godziną policyjną. Zachował wprawdzie swoją policyjną blachę, wszystkie dokumenty, a nawet pistolet i na pewno nikt go jeszcze nie poszukuje, bo przez jakiś czas kryje go kartka zostawiona na biurku, na której napisał: „Pojawił się nowy trop w sprawie zabójstwa mecenasowej H. Wyjeżdżam do Krakowa”. Wolał jednak uniknąć wylegitymowania przez nocny patrol na lwowskiej ulicy. Zdecydował się porozmawiać szczerze z ojcem Michałem.

Mnich wszedł zamasyżuje do kancelarii i wyciągnął do niego dłoń jak u drwala.

– Tak to się u nas dzieje, panie nadkomisarzu, niestety. W czym mogę panu pomóc?

– Proszę o chwilę rozmowy w cztery oczy... – Rafał zrobił taki ruch głową, jakby chciał zajrzeć za plecy mnicha, czy nie kryje się za nimi niepożądany świadek.

– Domyśliłem się, dlatego odprawiłem brata Fabiana. Słucham.

– Proszę ojca, kiedy byłem tu poprzednio, wydawało mi się, że jestem na tropie mordercy córki pani Landau, tej, która mieszkała u świętej pamięci pani Molendowej, pamięta ojciec?

– Tak, pamiętam. Nieboszczka zdążyła mi opowiedzieć, o co wtedy szło.

– Niestety moje podejrzenia okazały się błędne, lwowski trop był pomyłką. Wróciłem do Warszawy, tam sprawa zaczęła się komplikować, ale zagadka prawie się wyjaśniła. Sprawcą okazał się Niemiec, oficer SS, nie wiem tylko jeszcze, dlaczego to zrobił. Jeśli odkrył, że jest Żydówką, mógł ją wysłać do getta, a nie od razu zabijać, i to nożem. Naprowadziłem na jego ślad niemiecką policję kryminalną, ale jeśli SS zechce go kryć, zacznie likwidować świadków. Dlatego musiałem zniknąć z Warszawy i ukryć się tutaj. Myślałem, że pani Molendowa udzieli mi schronienia...

– To wielka tragedia. Wciąż nie wiemy, jak doszło do pożaru. Kiedyś narzekła na komin, widocznie zaproszyła ogień i poszła spać. Co prawda mogło to być podpalenie.

Podobno sąsiedzi słyszeli jakieś głosy, a nawet strzały, ale bali się wyjść z domu...

– Kiedy to się stało?

– Jakiś tydzień temu.

– Boję się, że to ja mogłem być pośrednią przyczyną śmierci pani Molendowej – wyznał po chwili Rafał.

– Jak to?! – Ojciec wbił w niego zdumione spojrzenie.

– Powiedziała mi, jak trafić na niejakiego Wasylyszyna, którego wtedy podejrzewałem. Przez niego panna Landau musiała uciekać ze Lwowa i ukrywała się w Warszawie. Obawiam się, że on skojarzył fakty i zemścił się na pani Molendowej.

– A więc to on jest tym podpalaczem?

– Może nim być. Muszę go odszukać, zresztą z jeszcze jednego powodu, ale na razie mam problem: nie mogę nocować tam, gdzie zamierzałem, a zbliża się godzina policyjna. Czy mógłbym prosić o przygarnięcie mnie choćby na jedną noc?

– Nigdy nie odmawiamy pomocy. Zaraz się tym zajmę – zapewnił go ojciec Michał i wyszedł z kancelarii.

Nie upłynęła minuta, a w drzwiach pojawił się młody braciszek Fabian i skłonił się zapraszająco. Rafał poszedł za nim.

Szli długim kruzgankiem wzdłuż szeregu drzwi prowadzących zapewne do cel mnichów, gdyż na każdych umieszczona była kartka z imieniem poprzedzonym literką O. lub B. – ojciec i braciszek. Potwierdziło się to za chwilę, gdy zatrzymali się przed drzwiami z przytwierdzoną na

stałe białą emaliowaną tabliczką z napisem „Gość”. Fabian otworzył je i gestem ręki zaprosił mężczyznę do środka.

– Toaleta jest na końcu krużganka, po lewej stronie. Proszę przyjść za kwadrans do refektarza na posiłek, też tym krużgankiem, ale na końcu w prawo. – Skłonił się i poszedł we wskazanym przed chwilą kierunku.

Cela wyglądała dokładnie tak, jak Rafał wyobrażał sobie spartańskie cele klasztorne: pod sufitem ćmiła się słaba żarówka, która ledwie oświetlała wąskie pomieszczenie. Na przeciwległej ścianie, osadzone w prawie na metr grubym murze, widniało małe okno. Pod nim stały stół i krzesło z surowego, ale spatynowanego już drewna, obok wąskie łóżko, a raczej prycza nakryta szarym kocem, i w kącie na taborecie emaliowana miednica. Na podłodze znajdował się dzbanek z wodą i wiadro. Na wybielonej wapnem ścianie wisiał niewielki krucyfiks, przy drzwiach przybito prosty wieszak na odzież: krótką deskę z szeregiem kołków. Jedy- nym sprzętem, który ucieszył policjanta, była biurkowa blaszana lampka stojąca na stole. Nacisnął włącznik: zapłonęła jasnym światłem, rysując ciepły krąg. Tak właśnie wyglądał świat Rafała: krąg światła nocnej lampki odcinający go od otoczenia i pomagający skupić myśli, skoncentrować się na pracy czy lekturze.

Zgasił górną lampę i cela od razu stała się bardziej przytulna. Nalał do miednicy wody z dzbanka, umył ręce i twarz, wytarł się lnianym ręcznikiem wyszywanym w hu- culskie wzory i udał się na kolację, bo głód zaczął dawać już coraz bardziej natarczywe sygnały.

Refektarz był ogromną salą z wysokim sklepieniem i wybieloną, jak wszystko w tym klasztorze, zakończoną absydą o trzech witrażowych oknach, jakby pozostałością po nawie kościelnej. Wzdłuż sali ustawiono dwa długie stoły, ławy mogły pomieścić na oko kilkadziesiąt osób, teraz było tu jednak pusto, tylko na drugim końcu siedział sędziwy mnich z długą siwą brodą. Policjant, wchodząc, skłonił mu się lekko, a tamten odpowiedział poważnym powolnym skinieniem głowy.

Pojawił się braciszek Fabian i wskazał gościowi miej- sce na początku stołu, zaraz przy wejściu. Ledwie Rafał usiadł, wszedł uśmiechnięty mnich z wielką wazą zupy. Postawił ją przed gościem i powiedział:

– Niech będzie pochwalony... Proszę jeść do woli, bo nic więcej nie ma!

Rafał mruknął coś w podziękowaniu i Fabian podsunął mu miskę i łyżkę, a po chwili jeszcze koszyk z czarnym chle- bem pokrajanym w wielkie kostki i zapieczonym jak grzanki. Rafał podniósł pokrywę wazy i poczuł dawno zapomniany zapach: to była zupa kminkowa, zupa jego dzieciństwa, któ- rej nie jadł od lat. W Kongresówce jej nie znano, w ogóle unikano tam kminku, a nim właśnie smakowała i pachniała Galicja. Rafał nalał sobie pełną miskę, wrzucił do niej kilka grzanek i zaczerpnął pierwszą łyżkę: boska! Jadł z apetytem, zachwycony, w prawdziwym uniesieniu, jakby słuchał jakiejś niebiańskiej muzyki lub czytał najsztudniej- szych wiersze.

Przeniósł się pamięcią do swojego rodzinnego domu w Suchej Beskidzkiej. Jego ojciec, kolejarz, jeździł pociągami

na trasie Oświęcim – Nowy Sącz, ale marzyła mu się służba na liniach dalekobieżnych, do Wiednia, do Lwowa, do Budapesztu. Na fotografii stojącej całe lata na szafce nocnej (na nakastliku!) w sypialni matki ma wypomadowane wąsy i jest w mundurze konduktora – wygląda jak oficer wyższej rangi. Rafał słabo go pamiętał, bo kiedy miał trzy lata, ojciec zginął w katastrofie kolejowej pod Rabką. Matka dostała sowitą rentę jako wdowa po państwowym funkcjonariuszu, który poległ na służbie, i poświęciła się wychowaniu syna.

Mieszkali w domu dla kolejarzy niedaleko stacji. Ich sąsiedzi, państwo Wilderowie, prowadzili restaurację na dworcu. Byli wiedeńskimi Żydami i osiedli w Suchej przypadkowo, kiedy w gazecie trafili na ogłoszenie, że Zarząd Cesarsko-Królewskich Kolei wydzierżawi lokale restauracyjne na stacjach Miszkolc, Bohumin i Sucha Beskidzka. Wybrali tę ostatnią, choć Rafał nigdy nie dowiedział się dlaczego.

Do niewielkich dwóch pokoi z kuchnią wchodziło się z długiego ganku okalającego podwórze z trzech stron na pierwszym i drugim piętrze, czwarta strona wychodziła na lesiste wzgórze. W lasach przeważały buki i klony, więc jesienią wzgórze zamieniały się w ogromne palety, na które malarze giganci wycisnęli próbki swoich farb: wszystkie odcienie zieleni, żółci, brązów i złota.

Na obu końcach ganków znajdowały się wygodki. Każdego ranka miały wielkie powodzenie. Codziennie powtarzał się ten sam rytuał: pan Wilder wychodził ze swojego mieszkania i człapiąc bamboszami, szedł najpierw

do tej po lewej. Jeśli była zajęta, stawał nieopodal, czekał i wczytywał się w gazetę, pociętą wcześniej na poręczne arkusiki. Dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze natrafiał na ciekawą historię czy informację, która urywała się w kulminacyjnym momencie i wtedy zaczynał szukać jej dalszej części, wertując nerwowo przyniesiony plik, albo pędził na drugi koniec ganku w nadziei, że druga wygodka będzie wolna. Przeważnie też była zajęta i pan Wilder przeżywał nieraz wielkie męczarnie, zwłaszcza kiedy deszcz gnany zachodnim wiatrem zacinął niemiłosiernie.

Raz inny sąsiad, policjant Sikora, przyłapał go na strasznym świętokradztwie: w jego pliku pociętych arkusików zauważył fragment portretu cesarza Franciszka Józefa, ojca narodów, zamieszczony w gazecie z okazji jego osiemdziesiątych urodzin. Pan Sikora mógł udać, że tego nie widzi, ale zirytowany perspektywą oczekiwania pod toaletą (obstrukcje pana Wildera były legendarne) powiedział coś nieprzyjemnego pod jego adresem, co niestety usłyszał wychodzący z wygodki pan Šimaček, lokator z drugiego piętra, kasjer biletowy. Policjant stanął teraz w obliczu poważnego dylematu: jeśli nie zrobi użytku ze swojej wiedzy o przestępstwie, pan Šimaček na niego doniesie, jeśli wniesie oskarżenie przeciw panu Wilderowi, straci codzienny kufelek pilznera, którym tradycyjnie częstował go pan Wilder na stacji, i sympatię całej kamienicy. Po całej dobie zmagañ moralnych policjant Sikora wybrał ryzyko, postanowił czekać na rozwój wypadków, ale pan Šimaček nie zawiódł – bezrefleksyjnie doniósł na obu sąsiadów,

wnosząc oficjalne powództwo do sądu grodzkiego. Nie wziął jednak pod uwagę, że sędzia Kraus bardzo ceni zalety kuchni dworcowej restauracji. Obaj pozwani zaprzeczyli oskarżeniom kasjera biletowego: pan Wilder oświadczył, że wprawdzie wyciął z gazety portret Najjaśniejszego Pana, ale po to, aby mieć go zawsze przy sobie, na dowód czego wyjął portfel, a z niego rzeczoną rycinę; policjant Sikora oświadczył ze wzgardą, że jest to potwarz, i zapowiedział, że nie puści tego płazem i wytoczy panu Šimačkowi sprawę o zniesławienie. Sędzia Kraus dał wiarę obu pozwany i oddalił powództwo. Lokator z drugiego piętra, zanim otrzymał zgodę na przeniesienie do Budziejowic, o co wniósł prośbę, musiał przecierpieć parę tygodni ostracyzmu w miejscu pracy i zamieszkania. Przemykał się do wygodki wyłącznie nocami, nabawił się choroby wrzodowej i nękały go omamy. Skorzystała na tej awanturze tylko niejaka panna Boženka, gdyż to u niej pan Šimaček szukał, prawie dzień w dzień, dość drogiej pociechy.

Rafał rozkoszował się zupą kminkową, której razowe grzanki dodawały smaku, i wciąż tkwił w galicyjskiej przeszłości. Przypomnił mu się mały synek Wilderów, Samuel. Jego matka, namiętna czytelniczka odcinkowych powieści drukowanych w wiedeńskich gazetach, nazywała go Billem na cześć ulubionego bohatera, Buffalo Billa. Kiedy Rafał przyjechał pożegnać się z matką przed wyruszeniem na front w tyśiąc dziewięćset cztertnastym roku, ośmioletni Billi żegnał go na ganku, wybijając marszowy rytm na blaszanym bębenku. Dziesięć lat później, gdy Rafał przyjechał

do Suchej na pogrzeb matki, Billi mu powiedział: „Wiesz, dlaczego ćwiczylem na tym bębenku? Myślałem, że w razie mobilizacji mojego rocznika wezmą mnie do orkiestry, a nie do okopów”. Na szczęście wojna skończyła się, gdy jego rocznik miał dwanaście lat. Po pogrzebie pani Wilderowa zaprosiła Rafała na obiad i podała zupę kminkową. Potem podobno wrócili do Wiednia i słuch po nich zaginął.

Król korzystał z gościny w klasztorze jeszcze kilka dni, dopóki pan Fonsio, właściciel restauracji U Masełki, nie znalazł mu wygodnego lokum w kamienicy szwagra, pana Taschké, przy cichej uliczce Pochylej, niedaleko parku Stryjskiego. Obszerna garsoniera na poddaszu stała wolna od roku, odkąd jej lokator, piękny Arnold Grünbaum, naftowiec z Borysławia, zniknął bez słowa, gdy tylko Niemcy nakazali Żydom przeprowadzenie się do getta na Janowskiej. Kiedy przyszli po pana Arnolda, bo widocznie mieli go na liście, musieli zadowolić się jego białym kabrioletem marki Bugatti. Szwagier opowiadał panu Fonsiowi, że dowódca patrolu cieszył się jak dziecko, kiedy wyjeżdżał tym pięknym autem z garażu. Niemcy zawsze kochali samochody i zwierzęta, dlatego gestapowiec zabrał także klatkę z papugą Grünbauma. Podobno jak ją wynosił, cały czas krzyczała: *Am hu? Am hu?* Szwagier pana Fonsia twierdził, że to po hebrajsku lub w jidysz znaczy: „Czy jesteś nasz? Jesteś Żydem?”, ale nie był tego pewien na sto procent.

Garsoniera okazała się pięknie urządzona. Właściciele domu zastrzegli, że wszystkie ruchomości pozostawił

poprzedni lokator, który zaginął bez wieści prawie rok temu. Zdecydowali się je zachować, usunęli i zmagazynowali jedynie zawartość szaf i szuflad, ale jak tylko właściciel się pojawi, będą musieli Rafałowi wymówić, i to może nawet ze skutkiem natychmiastowym. Przystał na te warunki, w końcu i on może będzie musiał opuścić mieszkanie z dnia na dzień. Najwyraźniej zyskał sympatię gospodarzy, a i oni przypadli mu do gustu. Pierwsze, na co zwrócił uwagę, to ogromny obraz zajmujący całą ścianę obszernego salonu. Przedstawiał scenę rodzajową w manierze szkoły monachijskiej: sceneria antycznej Grecji, kilka kobiet stoi koło bijącego źródła, inne to nadchodzą, to odchodzą z pełnymi dzbanami. Obraz mógłby być zatytułowany *Kobiety u źródła* i wyjść spod pędzla Siemiradzkiego lub jego ucznia, Rafał jednak nie odważył się wysunąć takiej hipotezy, malarstwo tego rodzaju niezbyt go interesowało. Centralną postacią obrazu była piękna czarnowłosa młoda dziewczyna wracająca od źródła z dzbanem na ramieniu. Malarz świetnie uchwycił ruch jej zgrabnej sylwetki – tyleż energiczny, co zwiewny.

– Ta postać... – zaczęła gospodyni, lecz mąż jej przerwał.

– Marysiu, to są tylko domysły. Po co obciążać tym wyobraźnię pana?

– Masz rację – zgodziła się i temat już nie wrócił, ale wyobraźnia Rafała została jednak poruszona i nieraz zastanawiała się, co chciała opowiedzieć mu gospodyni.

Na razie nie powiedział panu Fonsiowi, dlaczego znów przyjechał do Lwowa, a ten uznał, że wciąż drąży sprawę morderstwa dziewczyny, i o nic nie pytał, Rafał natomiast zdecydował się niezwłocznie skontaktować z panem Lolkiem. Późnym popołudniem pojechał na ulicę Dunin-Wąsowicza, odszukał dom i wszedł cicho na trzecie piętro oficyny. Stał przed drzwiami mieszkania i odczekał chwilę. Naciśnął delikatnie mosiężną listewkę wrzutu na listy i przyłożył ucho: usłyszał jakieś szmery, skrzypnięcie odsuwanej krzesła, dźwięk łyżeczki wrzuconej do szklanki i trzy powolne kroki, ale żadnych głosów – pan Lolek był sam. Dopiero wtedy Rafał przekręcił uchwyt archaicznego dzwonka i choć ten bardziej zazgrzytał, niż zadzwonił, sprostał zadaniu – rozległy się szybkie kroki, na moment cień przesunął się przez oko judasza, szczęknęły zamki. Rafał zobaczył uśmiechniętą twarz pana Lolka i usłyszał serdeczne:

– Witam, witam! Jakże bogi pana sprowadzają?! *Proszę zachodzić do hawiry!*

Gospodarz uścisnął oburącz jego dłoń, wprowadził do pokoju i posadził przy stole.

– *Hyrbatki? Jeszczy baniak gurący...*

– Z chęcią – odpowiedział Rafał i pan Lolek poszedł do kuchni.

Policjant z zadowoleniem rozejrzał się po pokoju. Na seledynowej ceracie na stole zauważył odcisnięte krążki po gorących szklankach, zupełnie jak podczas jego ostatniej wizyty, i poczuł nagle, że wraca pod gościnny i swojski dach. Jakby te ślady zapewniały go o serdecznej komitywie

i wyrażały w imieniu gospodarza gotowość pomocy, jakiej Rafał doświadczył tu już poprzednio. A o herbacie pomyślał z przyjemnością, bo pan Lolek wciąż jakimś cudem miał dobrą, prawdziwą, aromatyczną, tak jakby dawny szlak egzotycznych handlarzy ze wschodu, ciągnących karawanami przez Lwów do Gdańska, wciąż funkcjonował.

Pan Lolek wrócił do pokoju, niosąc ostrożnie tacę z niebezpiecznie chyboczącymi się dwiema szklankami na spodkach i cukiernicą.

W tym domu nie ma kobiety – uświadomił sobie dopiero teraz Rafał – ale kiedyś była: te makatki, koronkowe serwetki, porcelanowe figurki w kredensie, z którego gospodarz wyciągał karafkę dereniówki i kieliszki, wszędzie czuło się jeszcze rękę gospodyni. Może ją stracił, tak jak ja... Odgonił tę myśl jak muchę. Zawsze tak robił w ramach narzuconego sobie programu antysentymentalnego, a tak naprawdę ze strachu, że znów się rozklei.

– Teraz słucham, panie nadkomisarzu – powiedział pan Lolek, napełniając kieliszki.

– Mam na imię Rafał, panie Lolku, i przychodzę do pana, bo znowu mam kłopot.

Opowiedział możliwie dokładnie, co wydarzyło się w Warszawie, dlaczego znowu przyjechał i co go tu spotkało, a kiedy doszedł do tego, że podejrzewa Wasylyszyna o podpalenie domku pani Molendowej, pan Lolek wykrzyknął:

– Ta ma pan racji! To du niegu pudobne! A to kurwysyn! A wie pan, panie Rafale, wtedy na wyścigach, jak pan pojechał, to oni z tym pulicajem, co go niby aresztował, wie

pan, z tym Rusinem, wrócili za chwilę i znowu grali w najlepsze. Obstawiali grubo, nawet ośmielili się przyjść do mojego brata, do kiosku, na piwo. Wasylyszyn udawał, że gu nie puźnaji, kanalia! – Pan Lolek swoim zwyczajem od czasu do czasu mówił lwowskim bałakiem.

Rafał uznał, że to funkcjonuje u niego podobnie jak w sferach arystokratycznych: między sobą, przy stole, rozmawia się po francusku, język polski służy do wydawania poleceń służbie. Pan Lolek do inteligentów, do których sam się zaliczał, mówił piękną polszczyzną, a z plebsem, ze swoimi pracownikami na budowach rozmawiał bałakiem – tylko że czasem mu się to mieszało.

– Ale to jeszcze nie wszystko, panie Lolku. Pamięta pan tę dziewczynę, która przyszła wtedy ze mną na wyścigi?

– *Ta, uczywiści! Panna Hylenka!*

– Zniknęła.

– Jak to?

– Nie ma jej w domu od kilku dni. Sąsiadka powiedziała, że nachodził ją jakiś Ukrainiec, dobijał się do jej drzwi, ona mu nie otwierała, aż zdenerwował sąsiada, niejakiego Trogło, i ten zrzucił go ze schodów.

– A, to znana postać. Pamiętam tego olbrzyma z cyrku Staniewskich. Pod koniec kariery trzymał płonąca obręcz, przez którą skakały lwy, a kiedy się zupełnie rozpił, to już tylko sprzątał klatki. À propos: czy pan wie, że lwi nawóz jest fantastyczny do kwiatów doniczkowych, zwłaszcza do kaktusów? Ludzie się o to zabijali, gdy cyrki przyjeżdżały. Mój znajomy wyhodował sobie na tym kaktusa wielkości

człowieka! Przysięgam! Gdybym nie widział, tobym nie uwierzył, mówię panu! Ten gość to był taki chłopski filozof, jak mi pokazywał tego kaktusa, to mówił: Ja już tera, pani Lolku, wim, dlaczegu w Afrycy so taki sakramencki kaktusy, bu tam lwów jes dużu i one, pani Lolku, fajdaju! Ale... – Nagle przerwał ten wątek, jakby się zawstydził, że odbiega od tematu, i szybko zapytał: – I myśli pan, że to ten Wasylyszyn ją nachodził?

– Kobięcina opisała go jak do listu gończego. Oczywiście stuprocentowej pewności nie mam, ale czy nie wiąże się to w logiczny ciąg? Domyślił się, że na jego trop naprowadziła mnie pani Molendowa, i zemścił się na niej. Wtedy, na wyścigach, jak go niby aresztował ten policjant ukraiński, widział, że Lenka do mnie podeszła. Jak trafił na jej ślad, nie wiadomo, może przez przypadek, ale wygląda na to, że chciał się zemścić na mnie za to upokorzenie.

– Tak, ale jak mu to udowodnić? – zapytał zafrasowany pan Lolek.

– Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, gdzie mieszka, i porozmawiać sobie z nim, kiedy nie będzie miał koło siebie kumpli.

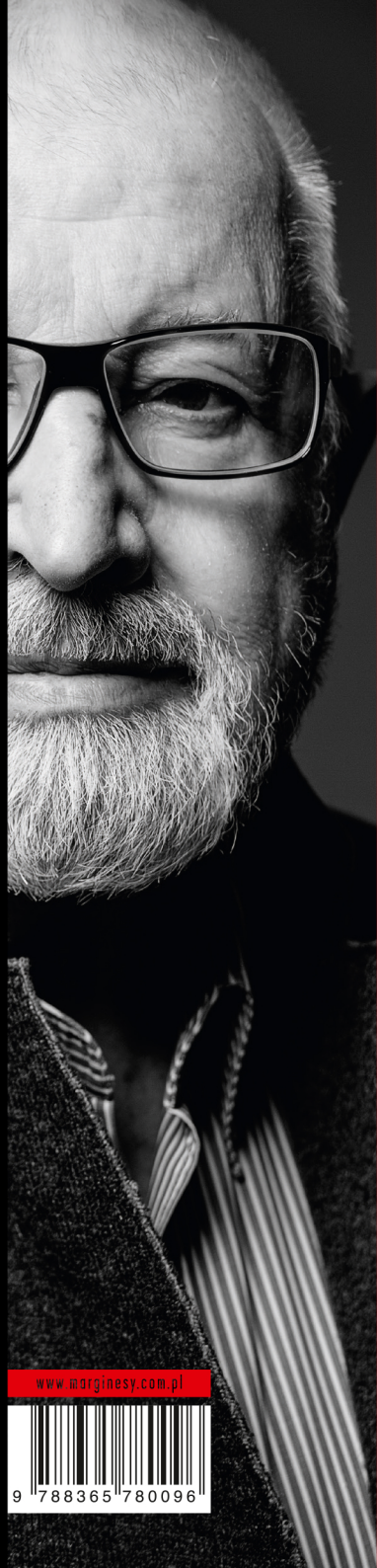
– Nie znam jego adresu, ale poszukamy. – Gospodarz trącił swoim kieliszkiem kieliszek Rafała, wypili, po czym bez zwłoki nalał następną kolejkę. – Na jednej nodzy tu tylko bocian stoi!

Kiedy Rafał dokończył herbatę, pogawędzili jeszcze i umówili się, że za trzy, cztery dni się spotkają. Może do tego czasu wpadną na to, jak dopaść Wasylyszyna.

Zbrodnie, wojna i miłość

Nadkomisarz Rafał Król pod nosem Gestapo i granatowej policji prowadzi prywatne śledztwo. Szuka mordercy ukochanej. Wspierany przez polskie podziemie, próbuje przy okazji zaprowadzić jako taki porządek w mieście pełnym mend, szuj i szmalcowników. Żaden inny detektyw nie miał bardziej pod górkę.

Atmosferę okupowanego Lwowa Janusz Majewski kreśli z pamięci. Barwnie i sugestywnie, bo dorastał na tych ulicach, z dynamiczną akcją i dowcipnymi dialogami, jak przystało na mistrza polskiego kina. Do ukochanego miasta wraca jednak w smutnych okolicznościach: wśród dzwonek tramwajów i dźwięcznego bałakania słycać stukot podzielowanych butów, antyżydowskie hasła i bezsilny ryk kamiennego lwa.



w sprzedaży także



POCISK
WYDAWNICTWO



lubimyczytać.pl

**PORTAL
KRYMINALNY**

BOOKLIPS.PL IIII

PATRONAT MEDIALNY

cena 37,90 zł

www.marginesy.com.pl



9 788365 780096